

SPIIS TREŚCI

Czasem ktoś cię znajdzie, nawet gdy nie szukasz	9
Człowiek żyje, dopóki żyją jego historie	17
Działanie pozwala odkryć Sens, a Sens prowadzi do działania	21
Nie mam człowieka	27
Być miłością, której szukam	33
Osamotnienie zubaża. Odosobnienie wzbogaca	39
Miłość to cnota. A cnotę można ćwiczyć. Jak mięśnie	43
A co Jezus zrobiłby na moim miejscu?	49
Moją jedyną polityką jest miłość	53
Współkochać przyszłam, nie współnienawidzić	63
Kiedy zostaje tylko TU I TERAZ	71
A jeśli miłość jest słuchaniem?	79
Wiara to spotkanie	83
Pustynia w wielkim mieście	91
Być wszystkim dla wszystkich	99
Doktor Dziunia	109
Tak mała, jak ziarenko piasku	115
I co dalej?	121
Jego miłość nigdy nie zasłaniała światła	125
Idź z tym do Józefa	131

Za kratami, ale szczęśliwa	137
Kiedy Bóg mówi, zaczyna od uczuć	143
Jeśli śpiewa serce, to zawsze czysto	147
Każdy dzień jako akt miłości	153
Zawsze najpierw wysłuchała	161
Daj, co nakazujesz, i nakazuj, co chcesz	169
Dzień, kiedy Bóg milczy	173
Boski GPS	181
Miłość silniejsza niż strach	187
Kto się na Tobie pozna?	197
Czy mam być smutna, kiedy pełnię wolę Bożą?	205
Każdy ma w ręku różę	209

Z rękopisu Hedwige Popiel OCD

Modlitwa Jezusa	217
Trwajcie w mojej miłości	265
Chleb życia	281
 Ta książka też ma swoją historię	 289
Wdzięczność to otwarte okno do nieba...	
Albo najgłębsza forma miłości	331

MIŁOŚĆ TO CNOTA. A CNOTĘ MOŻNA ĆWICZYĆ. JAK MIĘŚNIE

A może, jak wszystko, co w życiu cenne, miłość to po prostu proces? Ten kawałek węgla, cenny diament już we mnie od zawsze jest, ale żeby mógł się stać drogo-cennym brylantem, potrzebuje pracowitych godzin roz-łupywania, szlifowania i polerowania. By wreszcie na końcu każde jego załamanie, każda z trzydziestu trzech faset w jego koronie mogła odbijać czyste Światło.

Ojciec Keating podpowiada, że taka miłość to cnota. A cnotę można ćwiczyć. Jak mięśnie. By nie poddawać się, gdy boli, gdy szarpie, gdy brakuje oddechu. Zawsze wyszarpnąć się z pułapki, zanim w głowie odpali się opowieść o antagonistach i zanim wejdę w rolę ofiary. A co będzie, jeśli nie zdążę?

Zmieni się chemia w mózgu. Tak jak to się dzieje w klasycznej opowieści, empatiotwórczą oksytocynę wyprze stresogenny kortyzol. I... pozamiatane. Czasem na kilka godzin, a bywa, że i na kilkadziesiąt lat. Chyba że ktoś jest superbohaterem. Ja na pewno nie.

A wtedy wielogłosowy dramat, jakim jest moje życie, zamieniam w tragiczny monodram. I nagle nie myślę już o tym człowieku naprzeciw, o jego życiu, jego historii, jego pragnieniach i tęsknotach... Tylko włączam na cały regulator moje ulubione radio: WITfm. *What is there for me.* Co tam jest dla mnie. O mnie. Jajanie i mnie-manie.

I tyle opowieści rodzi się w mojej głowie. O sobie i tym drugim. Co mi on, a co mi nie. I jaki jest, a jaki być powinien. Tyle gotowych fabuł. Można by kilka sezonów seriali nakręcić. Tylko czy to by były prawdziwe historie? Czy może raczej... fikcja?

Och, za takie opowieści, jakie ja czasem opowiadam sobie w głowie, mogłabym dostać niejednego Oscara. I to bez najmniejszego twórczego wysiłku. Potrafią się pojawić niepostrzeżenie, w mgnieniu oka. Nieproszone. Przywabione jakąś emocją, która zahacza, choćby tylko koniuszkiem, o rany i głody dzieciństwa. Taki niezaspokojony głód potrafi niejednego dorosłego mocno przytrzymać w ścianach z tapetą w różowe kwiatki i rozkładanym fotelem do spania. Jeszcze długo po tym, kiedy i tego dziecinneho pokoju, a czasem i domu już nie ma.

Głód przeterminowanego dziecka, które tęskni, a nie raz i domaga się tego, co mu się należy. Czy taki głód w ogóle można nakarmić? I ile potrzeba by było miłości dzisiaj, żeby być w stanie nasycić głód miłości z tamtego wczoraj? Tak bezbronny, wrażliwy, podatny na zranienia. Głód dotyku, przytulenia. Głód akceptacji, dobrego słowa, głód bycia osobą ważną i wyjątkową. Gustaw Herling-Grudziński pisał w *Innym świecie* o swoim doświadczeniu sowieckiego łagru, że nie ma rzeczy, której by człowiek nie zrobił z głodu i bólu.

Co ja robiłam w dzieciństwie, żeby nie czuć tego głodu? Żeby nie bolało? Czy nie starałam się być grzeczną dziewczynką, która będzie posłusznie spełniać wszelkie

polecenia, byle tylko jej mama była z niej zadowolona i by zasłużyła sobie na jej miłość? I może wtedy tato do nich wróci? A potem z nienasyceniem głodomora szukała w kolejnych i kolejnych relacjach nie tyle kochania, ile bycia kochaną? Ale taki głód serca da się oszukać tylko na chwilę. Przychodzi czas, że pierwsze poczucie sytości mija... I co wtedy?

Głód znowu staje się nie do zniesienia. I trzeba szukać dalej. Choć nie głód to. Tylko pamięć głodu. Głód można oszukać. A pamięć?

MBA wtedy nie zrobisz. Nie ma szans. Jak może kochać bezwarunkowo taki wiecznie głodny student? Jak jest głodny, to myśli tylko o tym, żeby się najeść.

A gdyby tak zacząć nie od kochania, tylko od zaufania? Zaufać, że to ja jestem kochana. Że mój Ojciec mnie kocha. Taką miłością *agape*. I daje mi ją w prezencie. A jeśli i ja całkowicie się Mu oddam i zgodzę, żeby to On sam mnie przekształcił w czystą miłość? Taką, która mówi: Bądź wola Twoja. Która nie szuka nagrody, nie jest skoncentrowana na sobie. Taką miłość, dla której jestem gotowa zmienić swoją historię: postawę, pracę i wszystko w taki sposób, jakiego chce ode mnie Bóg.

I co, jeśli puszczę wszystko, co nie jest miłością?

O ileż łatwiej z MBA podejmować decyzje. I wybierać. Zwłaszcza to, co zazwyczaj potrafi tak przygnieść do ziemi. Jak odpowiem na cierpienie, krzywdy, odrzucenia, które mnie spotkają? Bo przecież zawsze mam wybór.

Wojna czy pokój? Przyjaciół czy wróg? A może po prostu... człowiek? Brat. Nawet gdy wszystko nas dzieli, jedno nas na pewno łączy. Potrzeba bycia kochanym. I cierpienie. Czasem tak potężne, że w obronie własnej gotowe iść nawet na wojnę. A może zawczasu wywiesić białą flagę? Tak pięknie o tym pisał w swoim wierszu *Człowiek człowiekowi przyjaciel* mojego taty, Edward Stachura. I zakończył go tak:

*Człowiek człowiekowi bliźnim
Z bliźnim się możesz zbliżnić*

Agape przynosi rozejm. Dopomaga, by umarło we mnie wszystko, co moje. W każdej kłótni. W każdym konflikcie. Każdego dnia. Im jest pełniejsza, tym szybciej. Jaka wtedy otwiera się przestrzeń wolności. Jak lekko, szczęśliwie się żyje. Jak się robi jasno na świecie.

Zupełnie jak w tej opowieści o kobiecie, która całymi dniami narzeka na sąsiadkę.

Wiele razy w ciągu dnia podchodzi do okna i powtarza każdemu, kto się akurat nawinie:

– Taki wstyd! Że też ona nie potrafi nawet porządnie wyprać swojej pościeli. No kto to widział, żeby takie brudne prześcieradła wieszać. Przecież od słońca się nie wybielą!

Aż w końcu syn tej kobiety podchodzi do okna, widzi brudne prześcieradła, ale zauważa coś jeszcze. Podnosi rękę i pisze coś na szybie.

Kiedy odchodzi, kobieta widzi napis:
Mamo, umyj okna.

Tylko jak to w praktyce zrobić, kiedy czasem czuję się
jak bez rąk?

MIŁOŚĆ SILNIEJSZA NIŻ STRACH

Na tym zdjęciu wygląda jak Madonna. Wysoka, w białym rozkloszowanym płaszczyku, spod którego wystaje spódnica. Patrzy lekko w bok. Ciemne włosy, odsunięte z czoła, gładko zaczesane do tyłu w warkocz albo kok, odsłaniają owal dosyć okazałej głowy. Ciemno zarysowane brwi i rzęsy okalają podobno niebieskie oczy. Jeśli się uśmiecha, to bardziej do wewnątrz. Na rękę trzyma dziecko, niemowlę. Chyba chłopczyka, też na białą, choć nóżki ma owinięte w kolorowy kocyk, żeby nie zmarzł. Jasnoblond główkę przechyla w stronę mamy. Wiktoria drugą dłonią podtrzymuje nadgarstek pierwszej. Żeby synek bezpiecznie się trzymał. Jak na świętych obrazkach.

Zresztą grała już kiedyś Matkę Bożą w jasełkach. I w *Kościuszcze pod Racławicami*. W amatorskim teatrze wiejskim grywa także jej późniejszy mąż. Podobno sam Leon Kruczkowski podziwiał go na scenie w swoim *Kordianie i chamie*.

Mimo że słynąca z zaradnych gospodarzy Markowa jest wtedy jedną z największych wsi w Polsce, Józef swoimi talentami mógłby obdzielić wszystkich mieszkańców. Wiktoria, na pozór nieśmiała introwertyczka, z bliższym poznaniem ciepła i gościnna. I błyskotliwa! Jej bratanek wspomina, jak bez trudu pomogła mu rozwiązać i wytłumaczyć trudne zadanie z matematy-

ki. Jej mama nigdy nie usiadła z nią do lekcji. Straciła ją, jak miała sześć lat.

Józef, wesoły, otwarty, kipiący energią i dusza towarzysztwa jest przyjacielem jej brata. O dwanaście lat starszy, jednak szybko zdobywa serce Wiktorii. I już po kilku miesiącach biorą ślub. Na dzwonie kościoła św. Doroty, w którym idą do ołtarza, jest łaciński napis: „Póki mamy czas, czynmy dobro”. Oni będą mieli na to dziewięć lat.

Jak on jest za nią! Życie ich nie rozpieszcza, ale w sobie i w Bogu zawsze znajdują oparcie.

We wsi wiedzą, że można do nich zapukać o każdej porze. A i wejść bez pukania też można. Po sadzonkę drzewka owocowego, słoik miodu, książkę czy dobrą radę. Taka rodzina społeczników. Do tańca i do różańca. Łatwo tam trafić, nawet po nocy, bo ich dom pierwszy we wsi ma prąd. Józek podłączył żarówkę do wiatraka i można było pochować lampy naftowe. Za to pojawiają się u nich kolejne nowości własnej produkcji: maszyna introligatorska, radjoko i aparat fotograficzny. Z roku na rok przybywa im książek, każda ozdobiona rodzinnym exlibrisem. I czarno-białych zdjęć, które dokumentują życie powiększającej się ku radości rodziców niemal każdego roku rodziny. A także całą wioskę.

Józef jest nie tylko zapalonym fotografem i bystrym obserwatorem. Jak Caravaggio wie też, że najpiękniejsze zdjęcie jest wtedy, kiedy w cieniach złapanego na gorąco życia uchwyci się światło. Najbardziej poruszają mnie jego zdjęcia dzieci przy kuchennym stole...

Szczególnie najstarszej córeczki Stasi. Szczupłej blondyneczki o prostych włosach. Na jednym robi wielką bańkę z mydła. Na innym pochylona nad rozłożonym zeszytem mama uczy ją pisać. Zeszyt jest owinięty starannie w papier do pakowania. Stasia śledzi ruchy matki z ręki znad otwartej książki.

I to, gdzie jedną ręką trzyma pióro, a drugą, w pełnym skupieniu zakręca kałamarz... Jakby przeczuwała, że w swoim ośmioletnim życiu nie napisze już kolejnej strony. Jakby poznała już Światło.

I jeszcze to jedno zdjęcie, postrzępione na brzegach. A na nim dwie uśmiechnięte dziewczyny z gwiazdą Dawida na opasce i małym dzieckiem na kocyku. A w głębi





chłopak na rowerze, który patrzy wprost na fotografa. Jakby to on chciał zatrzymać go w kadrze. Zdjęcie jest biało-czarne. Tylko plamy z krwi na nim tak okrutnie czerwone.

W swojej sfatygowanej od ciągłego wertowania książce *Dzieje biblijne Starego i Nowego Przymierza* Wiktorja albo i Józef podkreślają czerwoną kredką dwa fragmenty:

„Nie ma miłości większej od tej, gdy ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich”.

I drugi: „Przykazanie miłości”. – Miłosierny Samarytanin. Numer strony, u góry, w ich rodzinnej biblii



jest otoczony kółkiem i zaczerpiony ołówkiem, a niżej – przy tytule rozdziału widać jeszcze dopisane, podobno ręką Józefa, jedno krótkie słowo.

Trzy litery, które zadecydują o życiu Wiktorii, jej męża, i ich dzieci: Stasi, Basi, Władzia, Franusia, Antosia, Marysi. I tego siódmego, które poczyną się już w czasach, kiedy rodzina daje schronienie znajomym Żydom z okolicy. Ma się urodzić na wiosnę 1944 roku.

Wiedzą, że mogą zginąć. Wszyscy w czasie wojny wiedzieli, co za to grozi. A jednak dwudziestu dziewięciu Żydów znajduje u dziewięciu rodzin z Markowej, koło Łańcuta, gościnny dach. Najliczniejszą grupę przyjmują Ulmowie.

Może się modlili, żeby tym razem nikt do nich nie zapukał. Może chcieli odmówić. Może się obawiali, jak wyżywią w tych wojennych czasach, gdzie ledwo starczało dla dzieci, aż szesnaście osób. Może się bali, że ich wszystkich zabiją. Może rozważali większe i mniejsze zło. I nie chcieli ryzykować życia swoich dzieci. Może chcieli tylko spokojnie, normalnie żyć.

A jednak te trzy litery, napisane kiedyś ołówkiem w książce, która była ich biblią, dają im siłę. I mówią Saulowi Goldmanowi, znajomemu handlarzowi bydła, który z czterema synami staje na progu ich domu i prosi o ratunek: tak. I tym dwóm córkom tutejszego sklepikarza, Gołdzie i Layce, sąsiadkom, które błagają ich o pomoc, ta jedna ze swojej córeczką. Im także mówią: tak.

Tak po sąsiedzku. Zwyczajnie. Z troską. Z miłością. Bo są wartości ważniejsze dla nich niż życie. Bo Bogu się nie odmawia.

Od tamtej jesieni 1942 roku przez kilkanaście miesięcy żyją pod jednym dachem. W jednej izbie na dole ósemka Ulmów. A oni mają na strychu zrobioną kryjówkę, do której wchodzi się po drabinie. W dzień mężczyźni wspólnie nawet pracują przy garbowaniu skór, bo dom jest położony na uboczu i dobrze widać z niego drogę, jeśliby ktoś się nią zbliżał. Kobiety czasem razem gotują. A dzieci razem się bawią.

Każde modli się na swój sposób. A może modlą się razem? Albo Józef, jak to zrobił i jego sąsiad, dał im swój modlitewnik, żeby nauczyli się „Ojcze nasz... który je-

steś w Niebie... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Pewnie wieczorami czytają na głos książki albo czasopisma z nowinkami technicznymi, prenumerowane przez pana domu, i planują, co zrobią, jak już ta wojna się skończy.

O 4.30 nad ranem, 24 marca 1944 roku pod dom Ulmów zajeżdżają cztery furmanki żandarmów i granatowej policji. Łomot do drzwi, seria strzałów w sufit, ciężki tupot buciorów po szczeblach drabiny. Wiedzą, gdzie szukać.

Wystarczyło kilka słów człowieka, który nawet na początku pomagał w Łańcucie Goldmanom. Ale potem wygonił ze swojego serca miłość. A zaprosił chciwość. Jakiś czas wcześniej przyszedł do Józefa, niby żeby zrobić sobie zdjęcie. Podobno przyniósł nawet dzieciom cukierki. I wszystko dokładnie obejrzał.

Kilka śmiercionośnych słów.

On także potem od nich zginie.

Sufit jest podziurawiony jak sito. Zaczyna z niego kapać krew trójki Żydów ledwie wybudzonych ze snu. Pozostałą piątkę sprowadzają na dół. I tak zabijają wszystkich. Całą ósemkę. Ojca, kobiety i dzieci.

Patrzy na to Wiktor i Józef. Pewno mocno tulą do siebie przestraszone swoje dzieci: Stasię, Basię, Franusia, Władzia, Antosia. I najmłodszą Marysię, która jeszcze nie umie mówić. Pocieszają, ocierają im łzy, choć dobrze wiedzą, co się za chwilę stanie. Może choć dzieci oszczędzą?

Jedyny Bóg wie, co Mu w tych ostatnich minutach mówi. Czy żałują swojego „tak”? Czy też szepczą: „Ojcze, przebacz im... i bądź wola Twoja”.

I co mówi im Ojciec.

Wiktoria jeszcze widzi, jak od kuli w głowę ginie jej mąż. Zaraz potem sama oddaje Bogu ducha. Oprawcy narażają się przez moment, co zrobić z dziećmi.

– Zostawmy.

– Ale po co mają być ciężarem dla gminy?

Noc powoli zamienia się we wiosenny już dzień. Ale nie słysząc ptaków. Kolejne serie wystrzałów rozrywają spokój poranka.

Jedna z mieszkanki Markowej wspomina:

– Ja pamiętam tamtą noc. Nie widziałam, ale słyszałam. Najbardziej przerażające było to, jak zastrzelili rodziców. Na całą wieś słysząc pewnie było to, co ja słyszę do dzisiejszych dni – wołanie i płacz dzieci. Coraz cichsze. Tak, za każdym razem, kiedy rozlegał się strzał, wołania były cichsze, bo ich już ubywało. Aż wreszcie umilkły.

Jest piątek. Właśnie wschodzi słońce. Na ziemi, w kałuży krwi i błota, leży szesnaście ciał. Choć zabitych jest siedemnaścioro.

Gdzie był wtedy Bóg? Czy nie mógł ich uratować?

Był z nimi. Na krzyżu. Byli jedno. On w nich, a oni w Nim. W tej miłości, która życie swoje oddaje za przyjaciół.

Oprawcy zgadzają się, by ich pochować w dwóch oddzielnych dołach, które każą wykopać mieszkańcom wioski. Kilka dni później pod osłoną nocy brat Józefa Władek z kilkoma innymi odkopią ziemię i powkładają ciała brata i bratowej oraz ich dzieci do czterech, zbitych z desek na dom, skrzynek. To wtedy zauważą siódme dziecko Wiktorii, które zaczęło wychodzić na świat. Choć nigdy go nie zobaczy.

Nie ma miłości większej od tej, gdy ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich?

A jak wielka to miłość, kiedy ktoś oddaje nie tylko swoje życie, ale i swoich najbliższych. W imię bycia człowiekiem.

Jestem mamą. I bez wahania oddałabym moje życie za syna. Ale ryzykować jego życie za czyjeś inne życie? Taka miłość jest po ludzku niemożliwa. Nie do pojęcia. Nie do wytrzymania.

Taka miłość może być tylko z Boga.

I taka miłość zostaje uświęcona. I zostaje uświęcone ich męczeństwo. Po raz pierwszy w historii zostaje beatyfikowana cała rodzina – matka, ojciec i siedmioro dzieci. Stoją wszyscy razem, uwiecznieni na obrazie z boku ołtarza, w czasie beatyfikacyjnej mszy. Wygląda jak biało-czarna fotografia, której dodano kolor. Wokół ich głów dodano delikatną aureolę światła. A mnie najbardziej wzrusza to cienkie półkole światła, nad wystającym brzuchem ciężarnej Wiktorii. Święte dziecko, które,

choć ma nazwisko, to jeszcze nie zdążyło mieć swojego imienia. Tu, na ziemi.

Błogosławieni, czyli szczęśliwi. Razem weszli do nieba. Otworzyli je sobie sami bezwarunkową miłością. Silniejszą niż strach.

Z pozostałych rodzin wszyscy ocaleją. Lęk nie zabił braterstwa. Nawet, kiedy dowiedzieli się o tragedii u sąsiadów.